



Jadwiga i Waclaw Kubiccy
tuż po ślubie w 1939 r.

TERESA KACZOROWSKA

Ojca nie poznała nigdy. Zginął w Auschwitz-Birkenau. Matkę zabrali Sowieci już po wojnie, w lipcu 1945 roku. Ona sama, jako kilkuletnie dziecko, szykanowana była przez milicję i UB. Przetrwiała, przeczucana w czasach stalinizmu z jednej miejscowości do kolejnej.

JADWIGA CHCIAŁA POMŚCIĆ MĘŻA

Z kart IPN w Białymstoku:

„Kubicka Jadwiga z d. Kuczyńska, w. Białorezcza, córka Józefa i Aleksandry z d. Szmit. Polka, katoliczka. Drobna, ładna, choć nie za wysoka (około 150 cm wzrostu). O jasnych blond włosach, niebieskooka, w uszach nosiła kolczyki - srebrne podkówki.

Urodziła się w 1913 roku w Sejnach. Utrzymywali się z niewielkiego gospodarstwa pod Sejnami. 11 września 1939 roku została żoną Waclawa Kubickiego. Podczas okupacji Niemcy jej męża aresztowali, wywieźli do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie 20 lutego 1943 roku zamordowali.

W 1941 roku została wysiedlona, wraz z córką Krystyną i matką Aleksandrą Kuczyńską, do wsi Białorezcza. Kobiety utrzymywały się głównie z datków od miejscowej ludności za nauczanie dzieci. Jednocześnie Jadwiga Kubicka współpracowała z podziemiem niepodległościowym, udzielała schronienia przed Niemcami (w domu, w piwnicy), dożywiła partyzantów, także później, po kapitulacji Niemiec. Jadwigę Kubicką zabrano trzech Sowietów z karabinami, na czele z kapitanem ZSRS - nagle, tak jak stała - tylko w halce, na którą zdążyła narzucić jesionkę, na nogach miała balowe pantofle, a na ręce - złotą obrączkę.

Jej osierocona córka Krystyna Kubicka była wychowywana przez babcię, kuzynkę, ciotki”.

do tej pory żyje! - uśmiecha się Krystyna Michalewicz, córka Jadwigi Kubickiej, jednej z 27 młodych kobiet, które zginęły w oblężeniu augustowskiej. - W tym roku mija dokładnie 50 lat, jak mieszkam we Wrocławiu. Daleko mnie wywiało od rodzinnych Sejn.

Jest niska, pulchna, energiczna, serdeczna. Sięga po rodzinne archiwalia. Czarno-białe, po latach pożółkłe, zdjęcie paniąskie jej matki z 1937 roku wygląda artystycznie. Jadwiga, wówczas Kuczyńska, siedzi tyłem i spogląda zalotnie przez swoje prawe ramię. Lekko uśmiechnięta, modnie uczesana, pięknie zarysowane brwi, zgrabny nos. W jasnej letniej sukience ozdobionej haftami, na szyi ma sznury perłowych koralików. Wygląda wdzięcznie i dojrzałe. Miała wówczas 24 lata.

- Dwa lata później, 11 września 1939 roku, wyszła za Waclawa Kubickiego, podoficera Korpusu Ochrony Pogranicza. Ślubu udzielił im ksiądz w Ogrodnikach, na pograniczu Polski z Litwą, gdzie ojciec pracował. Mama była już ze mną w ciąży. Urodziłam się siedem miesięcy później, 18 kwietnia 1940 roku - opowiada Krystyna Michalewicz, wy-

szukując w albumach kolejne rodzinne zdjęcia.

Oddaje się wspomnieniom. Mówi ze swadą i humorem, piękną polszczyzną, jak pedagog, bo większość zawodowego życia przepracowała w szkołach. Przywołuje obrazy z dzieciństwa bez problemu, bo pamięć ma znakomitą.

- Moja mama urodziła się w Sejnach, dokładnie na obrzeżach tego miasteczka. Tam mój dziadzius, Józef Kuczyński, ojciec mamy, miał domek jednorodzinny i trochę ziemi. Z żoną Aleksandrą z d. Szmit utrzymywali się z gospodarstwa rolnego i wychowali sześcioro dzieci. Moja mama była najmłodsza - wspomina. Ona sama mieszkała w Sejnach tylko przez rok.

Jej ojciec, podoficer KOP Waclaw Kubicki, pochodził z okolic Łodzi. Poznał przyszlą żonę na kursie tańca w Sejnach - oboje byli niscy, więc skojarzono ich w parę taneczną. I tak już zostało. Małżeństwem byli krótko. Młody tata nie mógł nawet się radować z narodzin Krysty w kwietniu 1940 roku, został aresztowany przez Niemców w listopadzie 1939 roku.

- Znam ojca tylko z fotografii - Krystyna Michalewicz pokazuje zdjęcie. - Widziałam go tylko raz, kiedy mama zaniósła

niemowlę do więzienia w Suwałkach. W zamian za głę Niemcy pozwolili ojcu popatrzeć na mnie. Podobno spałam.

Jadwiga Kubicka, wówczas 27-letnia, ciężko okupiła to widzenie z mężem w suwalskim więzieniu. Podczas pieszej trasy z nowo narodzoną córeczką - z Sejn do Suwałk jest około 30 kilometrów - przeziębila się, zachorowała na zapalenie ucha i omal nie umarła. Musiała przejść trudną operację trepanacji czaszki. Jej córeczka Krysia już w wieku niemowlęcym była więc zdana na opiekę innych. Została wcześniej odstawiona od matczynej piersi i karmiona przez babcię mlekiem od krowy.

Jej ojciec, którego Niemcy uwięzili najpierw w Suwałkach, przebywał potem w innych więzieniach, m.in. we Wronkach. W tym czasie jego żonę Jadwigę okupanci wywieźli na przymusowe roboty do Niemiec. Kiedy tylko udało się jej wrócić, otrzymała zawiadomienie, że 20 lutego 1943 roku mąż „zmarł na serce” w Auschwitz-Birkenau.

- Posiadam do dziś akt zgonu ojca. W przeciwieństwie do aktu zgonu matki, która została aresztowana podczas oblężenia augustowskiej w lipcu 1945 roku i przepadła bez wieści - mówi Krystyna. I dodaje:

- Nasz dom rodzinny w Sejnach, w którym urodziła się moja mama i ja, już nie istnieje. Spalili go Niemcy, zaraz po wysiedleniu nas w 1941 roku do wsi Białorzeczka w gminie Giby. Dziadek tego nie doczekał, zmarł jeszcze przed naszym wygnaniem.

Opuszczając Sejny, pozwolono dwóm kobietom z dzieckiem - została tylko babcia Aleksandra i Jadwiga Kubicka - zabrać tyle dobytku, ile się zmieściło na furgance. Mała Kryśka miała wtedy roczek.

Białorzeczka to niewielka wieś, 4 kilometry od Gib. Niemieccy okupanci polecieli kobietom z dzieckiem zająć tam chałupę z drewnianych bali w lesie, z kawalkiem uprawnej ziemi - po starowierach, których wywieźli do Rosji. Krystyna pamięta ściany przetykane mchem, który jako dziecko lubiła wydłubywać. W domu po jednej stronie była sień, kuchnia i pokój, po drugiej - część gospodarcza. Z czego utrzymywały się kobiety?

- Była krowa, świnka, indyki, kaczkę, gęsi, kury - pamięta pani Krystyna. - Mama z babcią ciężko pracowały przy tym dobytku, uprawiały też kawalek ziemi. Pomagali sąsiedzi, rodzina, szczególnie brat mamy Ksawery Kuczyński, mój chrzestny, który był leśniczym w pobliskim Gulbinie. Nie zaznałam nigdy głodu - podkreśla córka ofiary oblawy augustowskiej.

W jej pamięci zachowały się z tamtego czasu tylko pojedyncze kadry. Do dziś widzi, jak ktoś przyszedł i narąbał drewna, ktoś inny przyniósł ryby, inny - raki, jeszcze inny - choinkę. Po śmierci męża Jadwiga Kubicka nie związała się już z żadnym mężczyzną. Jaka była?

- Mama była wesoła i lubiana, pięknie haftowała, miała artystyczne zainteresowania. Świetnie pływała. Wobec mnie była nieco apodyktyczna, bo byłam krnąbrnym dzieckiem i lubiłam chodzić własnymi ścieżkami. Prowadziła w domu tajne nauczanie, w niedziele organizowała w szkole w Gibach różne inscenizacje, tańce i zabawy dla dzieci. W Białorzeczce zaangażowała się w ruch oporu, chcąc pomóc śmierć ojca. Prawdopodobnie była łączniczką AK, mogła być skrzynką kontaktową, ze względu na to, że dom po starowierach stał na skraju lasu. Przyjaźniła się z łączniczką AK Zytą Kucharzewską. Jednak dziecka nie wtajemniczano w takie sprawy. Pamiętam jak obudziłam się kiedyś w nocy i z piwnicy wyszedł czarny, brodaty mężczyzna. Potem wmałowano, że to mi się śniło. Na pewno mama pomagała w aprowizacji i udzielała schronienia żołnierzom podziemia. Jej matka, a moja babcia Aleksandra, nieraz ją ostrzegała, że jeśli nie zaprzestanie tej działalności, to obcy będą chować jej dziecko. I tak się stało - opowiada.

Krystyna Michalewicz pokazuje ostatnie zdjęcie z matką, bardzo dla niej ważne. Wykonane „po wyzwoleniu”, tuż przed aresztowaniem Jadwigi Kubickiej, w lipcu 1945 roku, u wuja Ksawerego Kuczyńskiego, leśniczego w Gulbinie. Na łonie przyrody, w oddali widać Czarną Hańczę. Pięcioletnia Kryśka przytula się mocno do matki, jakby czuła, że niedługo utraci ją na zawsze. Jadwiga Kubicka - piękna, młoda, uśmiechnięta, w jasnej letniej sukience. Krystyna ma do dziś w pamięci ten moment. - Miałam stać sama na zdjęciu, ale nie można mnie było oderwać od matki - wspomina we Wrocławiu.

Dokładnie też pamięta, jak matkę zabierali. Był ciepły letni dzień, 27 lipca 1945 roku. Wczesne popołudnie, słońce jeszcze było wysoko. Córka, licząca wówczas dokładnie pięć lat i trzy miesiące, była z matką w domu. Wspomina:

- Mama akurat się przebierała i była tylko w halce, kiedy ktoś mocno załomotał do drzwi. Chwyła wówczas starą jesionkę przeznaczoną do pracy przy inwentarzu, która wisiała w sieni na gwoździu i nałożyła ją na halkę. Przyszło trzech Sowietów: jeden został przed chałupą, drugi pilnował terenu, a trzeci w stopniu kapitana, wszedł do środka i wziął mnie na kolana. Głaskał mnie po głowie i zapytał o zegarek. Mama miała zaręczynowy złoty zegarek, który dostała od ojca zamiast pierścionka. Położyła go na stole. Kapitan oglądał go, bawił się nim, potem zabrał. Trzykrotnie dawał mamie szansę ucieczki. Najpierw kazał jej wydoić krowę. Kiedy wróciła z wiaderkiem mleka, polecił jej pozbiierać jajka, a potem żeby poszła nakarmić świnię. Kiedy wróciła powiedział: „Oj, durna ty, durna. Zabieraj się z nami”.

Krystyna Michalewicz zastanawia się: - Mama pewnie bała się, że jak ucieknę, to Sowietci zabiją i mnie, i babcię. A mogła uciec, była przecież znakomitą pływaczką. Potrafiła długo przesiadzieć pod wodą ze słomką trzciny w ustach.

Kiedy licząc 32 lata Jadwigę Kubicką Sowietci prowadzili przez wieś - w halce i w tej starej jesionce, i podobno w balowych pantoflach, które zdążyła założyć zamiast chodaków używanych przy inwentarzu - jakaś kobieta dała jej ugotowane indycze jajko. Inna - wełnianą, szarą chustę, mimo iż był upał. Musieli umieścić ją w obozie filtracyjnym w Gibach, prawdopodobnie w stodole Szarejków, gdyż po kilku dniach od wywiezienia aresztowanych w nieznanym kierunku brat Jadwigi znalazł w tej stodole skorupki indyczego jajka.

- I tak zostałam tylko z babcią... - wzdycha Krystyna Michalewicz. - Tęskniłam, czekałam, płakałam, ale wierzyłam, że mama wróci. Jej rodzzeństwo i babcia prowadzili intensywne poszukiwania: przez władze w Polsce, przez Czerwony Krzyż, u jasnovidza. Bez skutku.

W listopadzie 1945 roku starsza siostra jej matki - Helena Kuczyńska z domu, a po mężu Juszcakiewicz - postanowiła wziąć liczącą pięć i pół roku Kryśkę na wychowanie. Helena była absolwentką studium nauczycielskiego, miała wówczas problemy z zajęciem w ciąży. Jej mąż, Zdzisław Juszcakiewicz, sanacyjny lotnik i oficer marynarki wojennej, został po zakończeniu II wojny światowej pierwszym kapitanem portu w Darłowie. Dostali tam wille, mieli do dyspozycji jacht, samochód.

- I ciocia Helena przyjechała po mnie do Białorzeczki - wspomina pani Krystyna. - Pamiętam, że był już śnieg, jechaliśmy saniami na dworzec kolejowy w Suwałkach. Podróżowaliśmy na Pomorze pociągiem towarowym, wśród stłoczonych kaszających ludzi, wielu tobołów i bagaży. W Darłowie nie brakowało mi niczego, nawet poszukiwanych w powojennej biedzie fig, pomarańczy, czekolady czy bananów.

Juszcakiewiczowie chcieli osieroconą Kryśkę adoptować jako swoją córkę.

Okazało się to jednak niemożliwe, gdyż do adopcji potrzebny był akt zgonu matki. Żadne władze nie chciały go wydać, bo o śmierci Jadwigi Kubickiej nic nie wiadomo. Poszukiwania zaginionych w oblacie augustowskiej ciągle trwały.

Pobyt Krysi w luksusach w Darłowie trwał blisko trzy lata, do końca sierpnia 1948 roku, kiedy mąż cioci Heleny otrzymał sygnał z Warszawy, aby uciekał, bo po niego jadą.

Zdzisław Juszcakiewicz (1908-2001) służył przed wybuchem wojny w wojskach lotniczych Marynarki Wojennej, a dokładnie był porucznikiem w Morskim Dywizjonie Lotniczym. Po napaści Niemców w 1939 roku uczestniczył w walkach w obronie Helu, w październiku dostał się do niewoli niemieckiej. Po powrocie, 15 października 1945 roku, objął funkcję pierwszego kapitana portu w Darłowie. Sanacyjny oficer wywiadu i kontrwywiadu był inwigilowany, gdyż mógł „prowadzić działalność wywiadowczą na szkodę państwa polskiego”.

Zdzisław Juszcakiewicz zorganizował wówczas ucieczkę na Zachód drogą morską. W nocy z 29 na 30 sierpnia 1948 roku motorówką pod pozorem udziele-



Jadwiga Kubicka z córką Krystyną w leśniczówce Ksawerego Kuczyńskiego w Gulbinie w lipcu 1945 r. Kilka dni później Sowietci aresztowali Jadwigę i słuch po niej zaginął

nia pomocy załodze jachtu morskiego wypłynął na Bałtyk, kierując się na duński Bornholm. Światła portowe były wygaszone. Na pokład zabrał przyrodniego brata Stanisława i koleżankę rodziny (miała być na łodzi żona Helena oraz jej siostrzenica Krystyna, ale obawiano się zabrać dziecko). Ucieczka się powiodła. Jego dalsze losy to tułaczka po całym świecie, ucieczka przed polskimi i rosyjskimi służbami specjalnymi. W 1970 roku w Lansdowne (prowincja Ontario, Kanada) nabył gospodarstwo rolne, gdzie spędził swoje ostatnie lata. Nigdy Polski nie odwiedził.

Rodzina Zdzisława Juszcakiewicza po tej brawurowej ucieczce była wielokrotnie szykanowana - jego siostra nie mogła wykonywać zawodu nauczycielki, a brat miał problemy w wojsku. Przez ponad dekadę trwały rewizje w ich domach, kontrolowano korespondencję, kontakty. Zdzisław Juszcakiewicz był jedynym w

powojennej historii PRL kapitanem portu, który uciekł za granicę.

Jak pamięta tamte dni Krystyna Michalewicz?

- Wujek uciekł kutrem do Szwecji, a ciocia Helena miała do niego dołączyć po znalezieniu opieki dla mnie. Jeszcze tej samej nocy przedostała się do Warszawy i zawiozła mnie do szkoły prowadzonej przez zakonnice. Ale pokazałam tam swoje pazurki! Nie chciałam wstawać o szóstej rano na modlitwy ani ubierać się po zakonnemu i siostry powiedziały, że takiego krnąbrnego dziecka nie chcą. Wtedy ciocia Helena przywozła mnie z powrotem do babci na Suwalszczyznę. Rodzina zapisała mnie więc do najbliższej szkoły w Głębokim Brodzie, ale i tam mieli ze mną kłopoty. Musiano mnie i z tej szkoły zabrać.

Rodzina postanowiła wtedy wywieźć niesforną sierotę do Gdyni, do Haliny Wierzbickiej - córki jej chrzestnego, leśnika Ksawerego Kuczyńskiego z Gulbina. I tam zaczęła się prawdziwa gehenna małej Krysi. Zaczęły deptać jej po piętach UB i MO. Dziewczynka stała się obiektem prześladowań komunistycznych władz, gdyż idąc jej tropem, chciano znaleźć Zdzisława Juszcakiewicza i jego żonę

Helena (która ukrywała się m.in. na Suwalszczyźnie, w Warszawie, zanim nie zorganizowano jej ucieczki w okrętowej skrzyni i dołączyła do męża w Szwecji). Aby udaremnić działania komunistów, przekazywano sobie z rąk do rąk ośmiódziesięcioletnią wówczas dziewczynkę. Kryśka zmieniła wówczas wiele domów w różnych miejscach Wybrzeża: w Gdyni-Orłowie, Gdańsku, Sopocie. W końcu próbowano przerwycić ją do Szwecji, ale i to się nie udało.

Ciocia Helena namówiła wtedy Natalię, córkę siostry matki Krysi, aby wzięła ją do siebie. Obiecała, że będzie na Kryśkę łożyć, aby tylko podjęła się jej wychowania. W ten sposób Natalia Kania z d. Zaborowska, córka Eugenii Zaborowskiej z d. Kuczyńskiej (siostry Jadwigi Kubickiej zaginionej w oblacie) wzięła, w czerwcu 1949 roku, dziewięcioletnią Kryśkę do siebie, do Poznania.

W stolicy Wielkopolski UB i MO zgubiły trop. Kuzynka Krysi - Natalia Kania - stała się jej drugą matką, a jej mąż, Tadeusz Kania - tatą. Do dziś pani Krystyna tak ich nazywa.

Druga mama nie pracowała, poza Kryśką wychowywała swoją córkę Grażynę, którą pani Krystyna cały czas uważa za siostrę.

W Poznaniu Kryśka ukończyła szkołę podstawową, technikum chemiczne i pedagogikę na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza. Zawarła też związek małżeński (który po 15 latach się rozpadł) i urodziła dwoje dzieci. Jej mąż też ukończył pedagogikę, ale został oficerem politycznym w wojsku. Kilka razy zmieniał jednostki, w ten sposób Krystyna znalazła się 50 lat temu we Wrocławiu.

We Wrocławiu córka zamordowanej w oblacie augustowskiej, 32-letniej Jadwigi Kubickiej, przeżyła radości i smutki. Rozwiodła się, drugi raz wyszła za mąż i od 41 lat jest szczęśliwa z drugim mężem, Janem Michalewiczem. Przeżyła też śmierć dwóch dorosłych synów.

– Bardzo wcześnie przestałam wierzyć w Boga i chodzić do kościoła. Bo gdyby Bóg był, to przecież nie pozwoliłby, aby zabito mi w dzieciństwie i tatę, i mamę – mówi twardo pani Krystyna. – Całe szczęście, że rodzina matki była duża i wspaniała. To dzięki niej wyszłam na luz. Bo za utratę ojca i matki nie dostałam od polskiego państwa ani złotówki.

Sieroctwo ją zahartowało. Nauczyło siły charakteru i uporę. Sprawilo, że i w zaawansowanym wieku senioralnym jest nadal aktywna, energiczna, prawie nie choruje. Wciąż się dokształca, całe życie pracowała w szkołach, była wicedyrektorem, dyrektorem, komendantem szczepu ZHP, pedagogiem. Od 1997 roku jest agentem ubezpieczeniowym. I wciąż pracuje, tylko już w domu.

Lubi odwiedzać rodzinne strony. Podobnie jak jej matka uwielbia regionalny przysmak, czyli kartacz, ale nie pływa tak dobrze jak ona. W młodości przyjeżdżała na Suwalszczyznę na każde wakacje – do ukochanej babci czy do chrzestnego, wujka leśnika Ksawerego. Później przyjeżdżała rodzinie, samochodem, często z przyczepą. Była nawet wówczas, gdy na początku lat 90. przeprowadzano pod Gibami ekshumacje – z nadzieją, że odkryte zostaną szczątki ofiar obławy augustowskiej. Ostatecznie okazało się, że są to kości żołnierzy Wehrmachtu. Ostatnio, w 2011 roku, wybrała się z

mężem na kilka dni do swojej Białorzeczki – zamieszkali w tej wsi w gospodarstwie agroturystycznym. Chodzili na grzyby, w Puszczy Augustowskiej wykopalali nawet kilka świerczków i jarzębinę, które rosną do dziś w ich ogrodzie.

Cały czas śledzi, co się dzieje w sprawie obławy augustowskiej. Należy do Związku Pamięci Ofiar Obławy Augu-

stowskiej 1945. Wierzy, że ta największa powojenna zbrodnia komunistyczna kiedyś się wyjaśni. Bo Łukaszenko, który zakazuje Polsce ekshumacji na Grodzieńszczyźnie, czy Putin, niepozwalający na dostęp do archiwów moskiewskich, nie są przecież wieczni.

– Byłam w Oświęcimiu, zapaliłam pod ścianą śmierci świecę w intencji ojca. Mam

nadzieję, że jeszcze zapalę znicz na grobie matki. Chociaż raz... We Wrocławiu stawia zawsze światełko pod Krzyżem Katyńskim. Takich zniczy są tam tysiące. ©©

Teresa Kaczorowska – dziennikarka, dr nauk humanistycznych, autorka kilkunastu książek, w tym: „Obława augustowska” (Bellona 2015) i „Dziewczyny obławy augustowskiej” (2017)



Krystyna Michalewicz z domu Kubicka z mężem Janem, Wrocław 2018 r.



IRENA LASOTA

A D A B S U R D U M

POLSKI RAJ NAD CIEPŁYM JEZIOREM ANNA

Zobaczyłam na mapie zielone zmieszane z niebieskim, słabo zagęszczone i pomyślałam, że sprawdzę, czy w odległości do dwóch godzin jazdy od Waszyngtonu można znaleźć miejsce nad jeziorem w lesie. I rzeczywiście znalazłam.

Jeziro nazywa się po prostu Anna i nikt (z moich znajomych) o nim nie słyszał. Jest trochę jak fiordy, ma wiele odnóg. Przy pierwszych kilku widnieją napisy, że nie wolno pływać ani łowić ryb, przy kilku innych, że nie wolno pływać łódkami ani wchodzić do wody. Gdy znajduję niewielką plażę, gdzie wolno pływać – dokonuję kilku odkryć.

Na przykład, że pływanie w środkowej Wirginii jest zajęciem tylko dla małych dzieci. Pilnują ich w wodzie przeważnie mocno wytatuowani mężczyźni. Dzieci, o dziwo, bawią się spokojnie. Jedno wiaderko czy łopatkę przypada na kilkoro z nich. Tak jak kiedyś.

Woda w jeziorze jest po prostu gorąca, za gorąca. Ktoś mi tłumaczył, że woda z jeziora służy do chłodzenia miejscowej elektrowni atomowej i jesteśmy po

stronie, gdzie już wypływa po tym, jak wykonała już swoje zadanie.

Jestem zachwycona, bo lubię doświadczać czegoś nowego. Jestem też jedyną osobą powyżej trzydziestki i w dodatku nie miejscową, więc wszyscy są dla mnie nie tylko bardzo mili, ale też bardzo opiekuńczy. Wołają do mnie, bym się nie martwiła, bo pilnują, żebym się nie utopiła. Na wszelki wypadek mówię, że jestem z Nowego Jorku, nie z Waszyngtonu, bo to brzmi bardziej „popolo”. Nie pytam o internet ani o restaurację, bo to z kolei brzmi zbyt snobistycznie. Zamiast tego pytam: „gdzie można coś zjeść”, i dostaję adres baru, w którym serwowane są przepyszne crab cakes, czyli kotleciki z miejscowych krabów, dużo smaczniejsze i kilkakrotnie tańsze niż w miastach.

Po drodze zatrzymuję się w Dollar Store, czyli czymś w rodzaju spółdzielni gminnej z czasów mojej młodości, i zaglądam do lodziarni. „Nie jesteśmy przedsiębiorstwem wolnym od orzechów, produktów mlecznych czy glutenu” – głosi duży napis. Politycznie mi się to podoba, ale nie gastronomicznie. Inny napis zachęca, że lody są

robione z prawdziwego mleka od krowy, którą hoduje miejscowy farmer. I rzeczywiście, dawno zapomniany zapach ciepłego, tłustego mleka prosto od krowy, do którego nie mam żadnego sentymentu, jest tak silny, że odechciewa mi się jakichkolwiek lodów. Zwłaszcza że nie ma moich ulubionych miejskich smaków, takich jak mango czy francuski karmel. Zamiast tego są lody z masłem arachidowym, z marszmelowami i nawet jedno pod nazwą Holstein (stado krów tej rasy właśnie pasie się za oknem).

Odruchowo zamawiam „diet Coke” (w Polsce znane pod nazwą „light” lub „zero”) i zanim skończyłam mówić, wiem, że popełniłam błąd cywilizacyjny. Nie ma, mówi miła panna. A pepsi jest? Jest. Zwykle. Nie diet.

Gdy wracam z innej, prawie jednoosobowej, plaży, macha do mnie z werandy para. Podjeżdżam i przy wjeździe wita mnie napis „Polish Heaven” – „Polski raj!”. Oboje państwo są już na emeryturze, Jim i Marilyn o prawie polskim nazwisku.

– Państwo z Polski? – pytam.
– Z Polski byli jego dziadkowie – odpowiada mi Marilyn. ©©